

## Materiały

### UNIwersytet Poznański na początku Hitlerowskiej Okupacji<sup>1</sup>

Sierpień jest zwykle miesiącem ciszy w gmachach uniwersyteckich. Inaczej było w 1939 r. Groźba wojny, bliskość granicy, ewentualność ewakuacji wywołały niezwyczajne w tym okresie ożywienie. Powszechna była nadzieja, że wojna nie wybuchnie, niemniej względy ostrożności nakazywały się z nią liczyć. Kierownicy poszczególnych zakładów rozważali możliwości zabezpieczenia zbiorów i przyrządów naukowych przed skutkami wojny, w rektoracie toczyły się dyskusje nad tym, jakie akta należałoby w razie ewakuacji z Poznania wywieźć<sup>2</sup>. Poza tym jednak — właśnie ze względu na wiarę, że pokój przecież będzie trwał — kierownictwo Uniwersytetu przygotowywało się do zbliżającego się początku roku akademickiego. To był drugi kierunek pracy. W takiej oto chwili nadeszła w dniu 1 września 1939 wieść o wybuchu wojny. W dziekanacie wydziału prawno-ekonomicznego obradowała właśnie Rada Wydziałowa pod przewodnictwem dziekana na rok 1939/40, prof. dra Zygmunta Wojciechowskiego<sup>3</sup>, kiedy pierwsze niemieckie bomby padły na Poznań. Posiedzenie przerwano. Odtąd była jasne, w którym kierunku należało zwrócić wysiłki.

Dzieje pierwszych dni wojny dzielą się na losy ewakuowanych i tych, którzy zostali w Poznaniu. Biura dziekanatów i komisji egzaminacyjnych miały być wraz z aktami przewiezione do Jarosławia nad San. Dokumenty ewakuacyjne wydano osobom do tej akcji przewidzianym już w dniu wybuchu wojny. Kwesztura rozpoczęła wypłatę pensji na okres trzech miesięcy dla wszystkich pracowników. Chwila zaważonowania miała być później podana do wiadomości. To stało się w niedzielę 3 września przed południem przez gońców uniwersyteckich. Miano załadować się do wagonu w pociągu ewakuacyjnym na rampie Dworca Towarowego od ul. Towarowej. O otrzymaniu jakichkolwiek środków przejazdu na dworzec nie było oczywiście mowy. Osoby przeznaczone do ewakuacji wraz z rodzinami udawały się na Dworzec Towarowy posługując się małymi wózkami ręcznymi. Na dworcu okazało się, że na Uniwersytet razem z Archiwum Państwowym przeznaczone są dwa wozy towarowe niewielkiej

<sup>1</sup> Autorami wydrukowanych tu materiałów są: J. J. Bossowski, K. M. Pospieszalski, K. Tymieniecki i Z. Wojciechowski. Z. Wojciechowski opracował losy transportu ewakuacyjnego. J. J. Bossowski — sprawę zakładników, K. Tymieniecki zezwolił na przedruk wyjątków z swego pamiętnika, pozostałe zagadnienia opracował K. M. Pospieszalski, który też sporządził protokoły o wspomnieniach poszczególnych profesorów i zestawił całość. Prof. Bossowski oparł się na własnych wspomnieniach, informacjach Kazimierza Kolańczyka, Seweryna Szelejaka i Joachima Kajzerskiego oraz spisach zakładników, z których jeden znajduje się w archiwum Instytutu Zachodniego (I. Z. Dok. I-189). Wspomnienia J. J. Bossowskiego były już w obszerniejszej redakcji drukowane (Zakładnicy Miasta Poznania, Przegląd Wielkopolski 1946, oraz H. Szoldrska, Walka z kulturą polską, Uniwersytet Poznański podczas okupacji, Poznań 1948, Księg. Akad.). Część wspomnień K. Tymienieckiego, a mianowicie wyjątek dotyczący pobytu St. Pawłowskiego w więzieniu zostały również wydrukowane w wspomnianym wyżej zbiorze H. Szoldrskiej. Z tego względu ograniczono się w naszej pracy do krótkiego ich streszczenia. Ponadto wykorzystano użyczone przez prof. Taylora jego pamiętnik.

<sup>2</sup> Wśród resztek przedwojennych akt Uniwersytetu Poznańskiego zachowała sięteczka zawierająca korespondencję w sprawie przygotowań do ewakuacji wartościowych przedmiotów z zakładów wydziału mat.-przyr. (nr 1142).

<sup>3</sup> Rektorem na rok 1939—40 był prof. Stefan Dąbrowski z wydziału lekarskiego, na dziekanów wybrano w czerwcu 1939: prof. Z. Wojciechowskiego (wydział prawno-ekonomiczny), prof. St. Kalandyka (wydział lekarski), prof. Lucjana Kamińskiego (wydział humanistyczny), prof. J. Suszkę (wydział mat.-przyrodniczy); dyrektorem oddziału farmaceutycznego przy wydziale mat.-przyrodniczym był prof. dr J. Dobrowolski.

pojemności. Między ewakuantami znaleźli się ówcześni dziekani wydziałów: prawno-ekonomicznego, humanistycznego i matematyczno-przyrodniczego oraz znaczna część personelu administracyjnego, razem ze sekretarzami Uniwersytetu i jego kwestorem. Do wieczora czekano daremnie na uruchomienie transportu. Tak przeczekano całą noc. Następnego rana doręczono egzemplarze prasy porannej, w której zamieszczone były komunikaty i odezwy. Transport ruszył przed południem, dnia 4 września; jadący sądzili, że zapewne na długi czas żegnają się z miastem. Pod Swarzędzem zakusądźli, że pewne ilości świeżego chleba. Dopiero pod wieczór dotarł pociąg do Wrześni, gdzie na stacji radio podawało wiadomości o zachowaniu się posła słowackiego w Warszawie. Powtarzano te wiadomości w kilku językach; uważny słuchacz orientował się, że nie ma wiadomości pomyślnych, skora taka, stosunkowo nieistotna sprawa zabiera tyle czasu w ramach audycji radiowej.

Pociąg minął Wrześnię i zatrzymał się na małej stacyjce za Wrześnią, tuż obok dużego pola kukurydzy. Tutaj nadeszła wiadomość, że w nocy na dworzec we Wrześni rzucono bomby lotnicze. Z bombami zapoznał się transport właśnie koło tego pola. Pasażerowie panicznie kryli się w kukurydzy, która później została gruntownie zbombardowana i ostrzelana. Widać było ucieczkę całych wsi. Gospodarze w ostatniej chwili ładowali wozy i kierowali się ku wschodowi. Nocą dochodził nieustanny turkot od strony szosy. Wojska cofały się polnymi drogami, ale i tu dopadały je samoloty.

Pod Koninem ewakuanci byli świadkami pojedynku artylerii przeciwlotniczej z samolotami nieprzyjacielskimi. Tak pociąg dotarł w końcu do dworca w Kole. Dzień był pogodny, jesienno słoneczny i ludzie powychodzili z wagonów, ażeby się umyć. W tym momencie nastąpił ciężki nalot kilku bombowców, które nurkowały i obrzuciły transport bombami z niskiej wysokości. Na szczęście wówczas nikt nie zginął.

W tymże Kole ewakuanci dowiedzieli się, że już pierwszego dnia wojny na dworcu został zbombardowany pociąg wiozący dzieci kolejarzy ewakuowanych z Krotoszyna. Mówiono wówczas, że zginęło 113 dzieci.

Na dworcu nie było systematycznej obsługi. Utrzymanie dworca w ruchu należało zawdzięczać tylko niezwyklej obowiązkowości niższego personelu kolejowego, który pełnił służbę bez przerwy, choć nie otrzymywał żadnej dyspozycji i nie pozostawał pod żadną kontrolą.

Pociąg z wolna posuwał się dalej w stronę Kutna, stale bombardowany. Nikt z podróżnych nie orientował się w stanie działań wojennych. Tylko głuchy grzmot ciężkich dział zwiastował, że front znajduje się w niewielkiej odległości.

Za Kołem lokomotywa pociągu ewakuacyjnego wypadła z szyn wstrzymując tym samym bieg wszystkich dalszych transportów. Dzięki ogromnemu wysiłkowi i ofiarności jadących udało się ją z powrotem ustawić na szynach. Inną systematyczną przeszkodą był brak węgla. Palono drzewem przygodnie zdobywanym. Parowóz musiał być stale utrzymywany w stanie pogotowia, a opału było mało.

W tychże stronach doszło do nieuchronnego w takich warunkach zderzenia. Pociąg, którym jechał transport uniwersytecki, uderzył na jadący przed nim pociąg ewakuacyjny. W tym ostatnim znajdowali się internowani Niemcy, z których kilku zostało zabitych, a część rannych. Tych ostatnich starannie opatrzone. Zabitych pochowano obok toru. Jeżeli ich później zaliczono do rządu zamordowanych, było to oczywiście niezgodne z prawdą.

Pociąg dotarł w końcu do Kutna i tutaj kilku jadących udało się po żywność do miasta; niestety jeden z nich został wówczas ciężko ranny; Kutno było bowiem pod bardzo silnym ostrzałem i bombardowaniem lotniczym. — Już bardzo wolno posuwał się pociąg dalej.

Ostatnią stacją, do której pociąg dotarł, był Zychlów. W tym czasie zaczęto już zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji, aczkolwiek nie w proporcji do jej ówczesnych faktycznych rozmiarów. Mówiono, że część armii niemieckiej, która wyszła

z Prus Wschodnich, przeszła poprzez Łowicz ku południowemu zachodowi, że jednak łączność z Warszawą została z powrotem nawiązana, a pociąg czeka tylko na naprawę zerwanego mostu pod Łowiczem.

W Żychlinie jednak ostatecznie nakazano ewakuantom opuścić transport. Rozproszyli się oni w różne strony, w pobliże zresztą Żychlina, gdzie zostali ogarnięci przez wkraczające wojska niemieckie. Na rynku w Żychlinie spotykali się wówczas ludzie tak jak przed wojną w śródmieściu Poznania.

Po pierwszym oszołomieniu poczęto myśleć nad powrotem do Poznania. Ówczesny dziekan wydziału prawno-ekonomicznego prof. Wojciechowski otrzymał nawet na to przepustkę od niemieckiego dowództwa dworca w Żychlinie. Na jej podstawie dotarł do opuszczonych wagonów, które były już gruntownie obrabowane. Pozostały jednak na miejscu ewakuowane akta i te chciał prof. Wojciechowski z powrotem dowieźć do Poznania. Po pewnym czasie pociąg istotnie ruszył w powrotną drogę, ale dotarł tylko do stacji Barłogi; dalej iść nie mógł z przyczyny zerwania mostów. Ponieważ w Barłogach groził zupełny głód, skierowano transport na linię kolejową Karsznice-Inowrocław, przecinającą pod kątem prostym tor kolejowy z Poznania do Warszawy w okolicy właśnie stacji Barłogi. Pociąg przyjechał istotnie do Inowrocławia. Tutaj obserwowano przynębienie w warsztatach kolejowych, a zarazem i patriotyczny nastrój wśród polskich robotników.

Ponieważ most pod Janikowem za Inowrocławiem (w stronę Poznania) był zerwany, pociąg skierowano na Bydgoszcz. Ze strony władz niemieckich zapadła wtedy decyzja, która przesądziła o losie ewakuowanych akt. Nakazano natychmiastowe opuszczenie pociągów i przeniesienie się do innego po drugiej stronie dworca. W tych warunkach nie było mowy o przewiezieniu pak z wieszonymi archiwaliami uniwersyteckimi. Akta te do Uniwersytetu już nie wróciły.

Nowy pociąg powrócił w stronę Inowrocławia, a pod Janikowem, po drugiej stronie mostu, czekał inny pociąg. Ewakuanci przeszli pieszo i jeszcze tego samego dnia wieczorem znaleźli się w Poznaniu. W nastroju ogromnego przynębienia zaczęli udawać się do swoich domów, starając się dotrzeć do nich przed wczesną godziną policyjną. To był początek października 1939 r.

Dopiero teraz dowiedzieli się ewakuowani o tym, co działo się w międzyczasie w Poznaniu, w szczególności na terenie Uniwersytetu. Pierwsze oddziały niemieckie wkroczyły do Poznania w dniu 10 września, następnego dnia weszła masa wojsk. Tego samego dnia postawili Niemcy pierwsze swe kroki na terenie gmachów uniwersyteckich. Główna ich uwaga koncentrowała się w pierwszych dniach nie na Collegium Minus, siedzibie władz uniwersyteckich, lecz na ówczesnym Collegium Medicum (dzisiejszym Collegium Maius), wielkim i okazałym gmachu przy ulicy Fredry 10.

W dniu 11 września 1939 przedstawiciele okupacyjnego prezydium policji zwiedzili ten gmach. Byli nimi niejaki major Koenig i adiutant niemieckiego prezydenta policji Woermann nazwiskiem Wolff. Zwrócili się do portiera Collegium Medicum Kokocińskiego i nakazali mu oprowadzić się po gmachu. W toku zwiedzania padały z ich ust nieustannie słowa: „Weg mit dem polnischen Dreck“. Pogardliwe to powiedzenie odnosiło się do ogromnych zbiorów naukowych. Mieściło się wtedy w Collegium Medicum nie tylko wiele zakładów wydziału lekarskiego, lecz także zakłady innych wydziałów, jak Instytut Prehistoryczny prof. Kostrzewskiego, Instytut Psychologiczny prof. Błachowskiego, Instytut Pedagogiczny prof. Jaxy-Bykowskiego, Instytut Geograficzny prof. Pawłowskiego, Seminarium Prawa i Procesu Karnego prof. Bossowskiego. Następnego dnia wprowadziło się prezydium policji do tego gmachu. Z tą chwilą zaczęto bezpłatowo usuwać polskie zbiory. Pracownik niemieckiego prezydium policji rozbijał zamknięte biurka, a niemiecki zarządca gmachu „Hausmeister“ Schlecht wrzucał polskie książki do pieca. W Zakładzie Anatomii Porównawczej i Fizjologii prof. Jakubskiego mikroskopy wyrzucano oknem. Z przed-

wojennego niemieckiego gimnazjum im. Schillera w Poznaniu przyszła grupa uczniów z dyrektorem dr Lattermannem, późniejszym okupacyjnym dyrektorem Biblioteki Uniwersyteckiej; i zabrała z Zakładu Farmakologii aparaty naukowe i różne odczynniki chemiczne. Urządzenia Radiologii Lekarskiej przewieziono częściowo do Szpitala Miejskiego, rozbijając w ten sposób placówkę naukową. Tak samo było z innymi zakładami.

Podobny był los Collegium Chemicum przy ul. Grunwaldzkiej. Wkrótce po wkroczeniu Niemców nowoczesny ten gmach został zajęty przez „Luftgaukommando“, które podobnie jak prezydium policji nie umiało uszanować aparatury naukowej i zbiorów. Większe aparaty zostały wysłane do Niemiec, mniejsze natomiast, nieraz również bardzo cenne, niszczone. Dotyczyło to przede wszystkim aparatów szklanych, słoików i próbek. Równocześnie przerobiono pracownie na biura, w szczególności w prymitywny sposób odmontowywano rury gazowe i wodne.

Gdy Niemcy panoszyli się tak w Collegium Medicum i Chemicum, a także w różnych innych gmachach uniwersyteckich rozsiadanych po całym mieście, w Collegium Minus, siedzibie rektoratu i dziekanatów panował jeszcze względny spokój. Po ewakuacji władz uniwersyteckich — jeszcze przed wkroczeniem Niemców do Poznania — utworzono komisję dla strzeżenia mienia uniwersyteckiego. Inicjatywa wyszła od prof. dra Witkowskiego, który zwołał wszystkich profesorów przebywających w Poznaniu. Profesorowie wybrali ową komisję, zastępczy Senat zwany Radą Uniwersytecką. Rektora zastępował prof. dr Niklewski, dziekana wydziału rolniczo-leśnego, nieobecnego prof. dra Pietruszczyńskiego, prof. dr Schechtel, prof. dr Padlewski reprezentował wydział lekarski, a wydział prawo-ekonomiczny prof. dr Ohanowicz. Do Rady należał nadto asesor Pawlak, który pełnił funkcje sekretarza generalnego. Asesor Pawlak dwoił się i troił i jego praca na Uniwersytecie zasługuje na najwyższe uznanie. Rada interweniowała wielokrotnie u władz niemieckich, chcąc zapobiec zniszczeniu zbiorów uniwersyteckich, co dawało z początku pewne wyniki. Najcięższe przeżycia w tych pierwszych dniach mieli pracownicy Biblioteki Uniwersyteckiej. Dr Jan Baumgart opowiada: „Pierwsze dni wojenne zdezorganizowały normalne życie. Wielu pracowników opuściło mury miasta. Ci, którzy pozostali, pracowali w Bibliotece do pamiętnego dnia 13 września 1939. W dniu tym, czwartym z rządu po zajęciu miasta, przybyło do gmachu Biblioteki trzech przedstawicieli tajnej policji niemieckiej (Geheime Staatspolizei). Rozkazali pracownikom zebrać się w czytelni czasopism, gdzie trzymano ich w zamknięciu przez 4 godziny. W tym czasie urządzili szczegółową rewizję, w szczególności w biurkach, przejrżeli akta i część ich zabrali. Następnie stwierdzili listę obecności, nie szczędząc przy tym przykrych i drastycznych uwag pod adresem tych, którzy Poznań opuścili. Wreszcie pracowników zwolniono, a Biblioteka została zamknięta i opieczętowana podobnie jak Biblioteka Raczyskich oraz księgozbiór Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk“.

Z interwencjami w sprawach dotyczących zajęcia względnie opieczętowania gmachu we wszystkich przypadkach niemieckiej samowoli zgłaszali się u władz prof. Witkowski oraz delegacja złożona z prof. Niklewskiego, prof. Schechtla i asesora Pawlaka. Dnia 21 września 1939 odbyło się ostatnie posiedzenie Rady Uniwersyteckiej. W posiedzeniu tym uczestniczyli profesorowie Niklewski, Kasznica, Padlewski, Klinger, Witkowski, Schechtel, Ohanowicz, Paczkowski. Obradowano nad sprawą samopomocy profesorskiej, zakładami wydziału humanistycznego, które mieściły się w Collegium Medicum, Kliniką Oczną prof. Kapuścińskiego, rewizją w Klinice Neurologiczno-Psychiatrycznej. O tej ostatniej sprawie protokolarne notatki zawierają następującą wzmiankę: „Prof. Padlewski przedstawia okoliczności, w jakich przeprowadzono rewizję w Klinice Neurologiczno-Psychiatrycznej, i prosi o przyznanie zasiłku drowi Markiewiczowi, starszemu asystentowi w tej klinice, z powodu skradzenia mu pieniędzy“. Prof. Niklewski poruszył sprawę egzaminów uniwersyteckich, co wywołało ożywioną dyskusję, uchwały jednak nie powzięto. Między innymi uchwalono

przenieść zbiory wydziału humanistycznego z Collegium Medicum do Collegium Minus, a zbiory wydziału lekarskiego z tego budynku do Collegium Anatomicum. Do tego jednak nie doszło, gdyż w chwilę po ukończeniu posiedzenia Niemcy uniemożliwili dalszą działalność polskich władz uniwersyteckich. Prof. dr Edward Schechtel tak przedstawia te wydarzenia: „Ostatnie nasze posiedzenie odbyło się dnia 21 września 1939 przed południem. Skończyło się ono około godziny 11-tej. Pamiętam, że z rektoratu poszedłem wprost do domu. Prof. Niklewski jeszcze pozostał, by załatwić sprawy urzędowe. Wtedy to przed gmach Collegium Minus zajęchało 7 aut z gestapowcami. Towarzyszyła im pewna Niemka, która wobec Niemców spełniała rolę przewodniczki i informatorki. Pracownicy Uniwersytetu zostali usunięci, a gmach zamknięty i opieczętowany“.

Uniwersytet został rozbity. Odtąd jego życie potoczyło się kilkoma torami. Dzieje Uniwersytetu Poznańskiego pod okupacją — to losy profesorów i studentów, którzy byli zakładnikami miasta Poznania, to historia wysiłków zmierzających do tego, by przecież mimo wszystko nie rzucać Uniwersytetu na pastwę Niemców, to dzieje rozproszanego personelu, który został albo aresztowany, albo wywieziony, albo też uszedł przed niemieckim terrorem do tzw. Generalnej Guberni, to także „niesławne“ dzieje Niemieckiego Uniwersytetu Rzeszy w Poznaniu.

#### Aresztowania

Tuż po zajęciu Poznania niemieckie władze wojskowe zaczęły zwozić zakładników do Starego Ratusza. Do pierwszych ofiar należał prof. dr Józef Jan Bossowski, którego zabrano w dniu 11 września 1939. Przez cały ten dzień zwożono zakładników po jednym samochodem i osobowymi. Później zastosowano inny sposób aresztowania, zarzucono też stosowaną na początku alfabetyczną kolejność. I tak w dniu 17 września woźny magistracki doręczył prof. drowi Edwardowi Taylorowi wezwanie, by zgłosił się następnego dnia o oznaczonej godzinie w Ratuszu. Tam dopiero dowiedział się, że jest zakładnikiem. Młodzież akademicką przyprowadzono pod eskortą całą grupą z Nowego Domu Akademickiego przy Wałach Leszczyńskiego (dzisiaj Aleja Stalingradzka) w dniu 25 września. Później dołączano jeszcze poszczególne osoby.

Początkowa łączność kolejności aresztowania z alfabetem wskazuje na to, że plan był z góry przygotowany. Z rozmów między Niemcami, prowadzonych w obecności zakładników, wynikało, że niektóre osoby należało z powodu zgonu z listy skreślić. Chodziło tu o osoby, które zmarły na rok lub nawet dłuższy czas przed wybuchem wojny. Lista została zatem ułożona na długo przed wojną, gdy dane osoby były jeszcze przy życiu. Późniejsze zarzucenie porządku alfabetycznego można by sobie wytłumaczyć tym, że pierwotna lista okazała się przestarzała. Zgadza się to z ujawnionymi po wojnie dokumentami niemieckimi, z których wynika, że już przed wojną hitlerowcy zbierali o profesorach opinie z punktu widzenia ich stosunku do Niemiec<sup>4</sup>. Na tym tle staje się zrozumiałe to, że już w pierwszych dniach zatrzymania prof. dr Bossowski spotkał się z zarzutem, że „zbyt interesował się niemieckimi wyrokami“. Dotyczyło to opracowania przez niego sprawy polskiego robotnika Józefa Jakubowskiego, który przez niemiecki sąd w Meklemburgii został skazany na śmierć. Po wykonaniu wyroku okazało się, że Jakubowski był niewinny. Z pytań stawianych poszczególnym profesorom w czasie apelu wynikało, że komendant znał nawet stosunki rodzinne.

Pierwszymi bodaj zakładnikami z młodzieży byli Joachim Kajzerski, student wydziału prawno-ekonomicznego, Ludomir Szafarkiewicz, również student wydziału

<sup>4</sup> Patrz in fine opis resztek hitlerowskich akt policyjnych. O inwigilacji uczonych polskich przez hitlerowców świadczy m. in. działalność tzw. Publicationsstelle w Berlin-Dahlem, która tłumaczyła prace uczonych polskich zajmujących się problemami polsko-niemieckimi i wydawała je dla poufnego użytku w powielanych odbitkach (J. Baumgart, Tajna organizacja nauki niemieckiej, Przegl. Zach. 1947; to samo: Revue Occidentale 1948, nr 1).

prawnego, i student chemii Mieczysław Kowalski. Dalszych zakładników-studentów dostawiono do Ratusza gropowo; młodzież zgłaszała się do Nowego Domu Akademickiego, by z swoich pokoiów zabrać ciepłą bieliznę i ubrania. Przy tej okazji studentów zatrzymywano. Kazimierz Kolańczyk, wówczas starszy asystent, dzisiaj profesor prawa rzymskiego, poszedł na prośbę jednego ze studentów do Domu Akademickiego jako tłumacz. Oto jak opisuje on te wypadki:

... Wartownik wpuścił nas chętnie do gmachu i zapewnił, że nasza sprawa zostanie przychylnie załatwiona. Wraz z kilkoma studentami, którzy czekali już w podobnej sprawie, spędziłem tam mniej więcej 5 godzin w zewnętrznym, mrocznym chłodnym korytarzu, po czym wezwano nas przed komendanta batalionu „Landsturmu“, który kwaterował w Domu Akademickim. Komendant-major polecił najpierw spisać nazwiska studentów (zdaje mi się, że było ich 8-miu), przy czym mnie jako tłumacza chciał pierwotnie zwolnić. Skoro jednak dowiedział się, że jestem asystentem Uniwersytetu, kazał mnie również wciągnąć na listę. O zmroku przeprowadzono nas pod silną eskortą do Starego Ratusza, gdzie spędziliśmy pierwszą noc w szczególnie przykrych warunkach, stłoczeni w kącie przedpokoju, który przylegał do Złotej Sali Ratusza, zziębnięci i głodni, nieświadomi dalszego losu. Przez całą noc pilnował nas wartownik, który siedział o kilkanaście kroków od nas przy stole z przygotowanym do strzału automatem. Dopiero rano przyłączono nas do ogólnej grupy zakładników i odtąd dzieliliśmy jej losy“.

W ten sam sposób stał się później zakładnikiem Seweryn Szelejak, student wydziału prawnego, dzisiaj adwokat w Poznaniu.

Zakładnicy przebywali od 11 września do 30 października we wspomnianej Złotej Sali i w przyległej salce, należącej do Biblioteki Miejskiej. Potem przebywali zakładnicy w lokalach prywatnego gimnazjum Collegium Marianum przy ul. Różanej, a wreszcie mniej więcej od połowy listopada w gmachu gimn. im. Słowackiego przy ul. Focha (dzisiaj Rokossowskiego) naprzeciw kościoła Matki Boskiej Bolesnej.

Z profesorów należeli do zakładników według kolejności uwięzienia: Józef Jan Bossowski, Edward Taylor, Bohdan Winiarski, Leon Padlewski, Stefan Błachowski (prorektor), Szczęsny Dettloff, Zygmunt Wojciechowski i Stanisław Kasznica, z asystentów zaś: Franciszek Lipiński i Kazimierz Kolańczyk, a ze studentów: Mieczysław Kowalski, Ludomir Szafarkiewicz, Joachim Kajzerski, Jan Grajkowski, Teofil Szkobek, Benedykt Ossowski, Stanisław Scharmach, Wiktor Słoma, Władysław Sitariski, Bogdan Pawlak, Franciszek Gasz, Eugeniusz Makowiecki, Feliks Grochowski, Władysław Duda, Zenon Kopeć, Mieczysław Posadzy, Seweryn Szelejak, Józef Dombek, Władysław Kożuszniak i Jan Kołodziej. Skład grupy profesorskiej zmieniał się w czasie trwania zakładnictwa. Tak np. prof. dr Zygmunt Wojciechowski został dołączony do niej dopiero na początku października po powrocie z ewakuacji, a prof. dr Leon Padlewski po zwolnieniu z więzienia. W dniu 13 listopada został zwolniony prof. dr Bossowski wraz z kilkunastoma zakładnikami aresztowanymi na początku września, w kilka dni później zaś prof. prof. Edward Taylor i Bohdan Winiarski.

Liczba zakładników, którzy byli w danej chwili do dyspozycji niemieckich władz wojskowych, wynosiła zrazu 25, następnie 37 osób. Z początku wszyscy zakładnicy byli więzieni bez przerwy, później część mogła udać się do mieszkań najczęściej na 48 godzin. Po upływie tego czasu role zmieniały się. Wtedy jednak liczba zakładników wzrosła w dwójnasób. Więzieni zakładnicy w liczbie 25 względnie później 37 osób odpowiadali życiem za spokój w mieście. Według rozplakatowanych ogłoszeń miano rozstrzelać dziesięciu zakładników w razie zamachu na wojsko lub osobę narodowości niemieckiej. Chwilowo zwolnieni musieli zgłosić się w miejscu uwięzienia po upływie 48 godzin, zwalniając tym samym na taki sam czas swoich kolegów. Zrazu musieli oni podpisywać deklarację, według której niezgłoszenie się było zagrożone śmiercią. Potem od tego odstąpiono. Niemcy widocznie uważali, że jednorazowe ostrzeżenie wystarczy. Z przywileju dwudniowych zwolnień nie korzystali

asystenci i studenci rzekomo ze względu na to, że nie posiadali stałego miejsca zamieszkania w Poznaniu, co stwarzało obawę ucieczki. Do tej kategorii zakładników należał też tytułem represji prof. dr Bohdan Winiarski, który po pierwszej wojnie światowej był prezesem komisji likwidacyjnej nieruchomości własności niemieckiej.

Zachowanie się Niemców w stosunku do zakładników było na ogół poprawne. Szykany miały raczej charakter sporadycznej dokuczliwości. Zakładników przebywających w tzw. Złotej Sali Starego Ratusza traktowała straż jak przestępców. Gdy notariusz Nowosielski wyszedł w nocy ze sali, spotkał się z uwagą żołnierza, że pewnie wyrzuty sumienia spać mu nie pozwalają, i z zapytaniem, jakiego przestępstwa się dopuścił. Każda nowa straż tworzyła sobie przepisy porządkowe odmienne od dotychczasowych. Czasem straż pozwalała udać się na korytarz po jednemu, czasem uzależniała pozwolenie od utworzenia grupy złożonej z trzech osób. Na stole w pokoju straży ustawiono karabin maszynowy z wylotem zwróconym na Złotą Salę. W nocy straż wchodziła nieraz do sal i liczyła, czy są wszyscy. Traktowanie pogorszyło się za czasów drugiego z kolei komendanta oberleutnanta Sandmanna. Ten urządzał apele, które były przykre zarówno ze względu na swój przebieg, jak i na to, że trzeba było stać bez ruchu przez kilka godzin. Jeden apel został zorganizowany szczególnie uroczystie w asyście pewnej komisji. Komendant w swoim przemówieniu wyliczał przewinienia Polaków wobec Niemców, a groźby mieszały się z zapowiedziami, że Niemcy nie popełnią obecnie tych błędów, jakie popełnili w poprzedniej wojnie. Potem zaczęło się kolejne przesłuchiwanie zakładników, które służyło komendantowi do wypowiadania złośliwych uwag pod adresem poszczególnych zakładników i polskiego narodu. Na zakończenie oświadczył komendant, że musi przypomnieć zakładnikom, iż może spotkać ich ten sam los, co w innych miastach. Miał tu na myśli masowe egzekucje, które w ciągu września i października 1939 r. miały miejsce w Środzie, Kościanie, Mosinie, Kórniku, Osiecznej, Gostyniu itd.

W okresie pobytu w Starym Ratuszu zakładnicy mogli zamawiać obiady w restauracji piwnicy ratuszowej. Później wolno było zakładnikom przyjmować paczki. Dało też zakładnikom znaczną swobodę, na co wskazuje chociażby fakt zwalniania części zakładników na krótki okres. W Collegium Marianum i w gimnazjum im. Słowackiego mogli zakładnicy w wyznaczonych godzinach przyjmować odwiedziny członków swoich rodzin i rozmawiać z nimi przez dłuższy czas bez dozoru; mieli poza tym swobodę wyboru zajęć. I tak ówczesny asystent Kazimierz Kolańczyk przepisał swą pracę doktorską na maszynie, którą przyniósł mu jeden z „wymyślnych“ zakładników. W pamięci zakładników zapisał się niemiecki naukowiec, który zaznaczał, że w stosunku do nich nie wyjdzie poza granice określone wyraźnie udzielonym rozkazem, a także pewien podoficer Schupo (Schutzpolizei); ten doprowadziwszy studentów do Ratusza poświęcił z własnych pieniędzy 2 marki, by kupić dla nich żywność, strzegając oczywiście ściśle zachowanie tajemnicy.

Między zakładnikami, ludźmi rozmaitych zawodów i przekonań, zadzierzgnęła się szybko silna więź, poczucie solidarności. Profesorowie starali się w ramach możliwości o to, by przymusowy pobyt w obozie zakładniczym młodzież należycie wyzyskała. Wspomniano już, że dr Kazimierz Kolańczyk przepisywał wtedy swą pracę doktorską pisaną pod kierunkiem prof. Z. Wojciechowskiego. Prof. Leon Padlewski egzaminował studentów medycyny z bakteriologii, a nawet przygotowywał ich do egzaminów.

Zniesienie zakładnictwa nastąpiło na początku grudnia 1939. Racja trzymania zakładników znikła znacznie wcześniej. Już 26 października 1939, z chwilą „wcielenia“ ziem polskich do Rzeszy, zarząd wojskowy przestał być ośrodkiem władzy, a jego miejsce zajęła administracja cywilna. Choć później niż można się było tego spodziewać, wszyscy zakładnicy przecież odzyskali wolność. A jednak było to tylko wynikiem szczęśliwego zbiegu okoliczności. Na kilka dni przed likwidacją oficer niemiecki oświadczył zakładnikom, że osoby starsze mają być przekazane do Fortu

VIII, młodzież zaś do obozu koncentracyjnego w Dachau. W dniu 8. XII. 1939 powiedziano więźniom, że przestają być zakładnikami. Policja ochronna (Schupo), która pełniła wtedy straż wartowniczą, nie chciała jednak zakładników wypuścić. Wtedy zwrócili się studenci do łącznika między komendą wojskową a zakładnikami Poszwińskiego, by interweniował u władz wojskowych. W wyniku interwencji zjawił się w gimnazjum im. Słowackiego oficer, który nakazał policji zwolnienie zakładników. W ten sposób odzyskali oni wolność. Polecono im tylko, by zgłosili się w komendzie miasta (Stadtkommandantur). Niektórzy natychmiast po zwolnieniu postarali się o fałszywe przepustki na wyjazd do tzw. Generalnej Guberni i w ten sposób znikli z oczu niemieckich władz w Poznaniu. Wiadomo też, że Gestapo szukało niektórych zakładników w ich dotychczasowym miejscu zamieszkania (np. Kazimierza Kolańczyka). Łącznik Poszwiński, który w czasie trwania obozu oddał niejednokrotnie poważne usługi, został przez Gestapo aresztowany, osadzony w Forcie VIII i tam stracony. Jest możliwe, że jego ostatnia interwencja, która pokrzyżowała plany Gestapo, była tego przyczyną.

Wspomniano już, że niektórzy profesorowie zostali wcześniej zwolnieni. W takich przypadkach podlegali natychmiastowemu wysiedleniu. Prof. dr Bossowski zwolniony w dniu 13 listopada o godz. 5 po południu został w trzy godziny później z mieszkania usunięty i z żoną przewieziony do obozu wysiedleńczego w Główniej (Poznaniu Wschodnim). Nieco inaczej zakończył się okres zakładnictwa dla prof. dra Edwarda Taylora. Miał on prawo spędzić noc z 8 na 9 listopada 1939 w domu, ponieważ na te dni przypadało jego okresowe zwolnienie. Wtedy to około godz. 22,30 zjawiła się ekipa wysiedleńcza. Rodzinę przewieziono do obozu wysiedleńczego, jego samego zaś do więzienia policyjnego przy pl. Wolności. Profesora umieszczono w celi, w której przebywali już dr Królikowski ze Szpitala Miejskiego i dr Zdzisław Stolzmann, wówczas adiunkt prof. Dąbrowskiego przy katedrze chemii fizjologicznej. Okazało się, że w chwili przejęcia Szpitala Miejskiego przez Niemców aresztowano zatrudnionych tam lekarzy. Część z nich została po kilku dniach zwolniona, resztę tej grupy stanowiły wspomniane wyżej osoby, które niedługo potem też odzyskały wolność.

Na upamiętnienie zasługuje drobny epizod z pobytu prof. Taylora w więzieniu. Oto pewnego dnia znalazł się w tejże celi jako więzień Szwed, korespondent Stockholmske Tidninge, pisma konserwatywnego i antyżydowskiego, subwencjonowanego prawdopodobnie przez Niemców. Korespondent miał przypatrzeć się przesiedleniu Niemców z Estonii i Łotwy i przyjechał z nimi aż do Poznania, co wykraczało poza wyznaczony plan jego podróży. Dlatego aresztowano go, gdy starał się o zezwolenie na pobyt. Został on oczywiście natychmiast przez współwięźniów uświadomiony o zachowaniu się Niemców w Polsce, przede wszystkim zaś o akcji wysiedlenia. Był zupełnie przybity opisem panujących stosunków, starał się jednak bronić Niemców. Gdy jego towarzysze „śmiejąc się radzili mu po powrocie do Szwecji sprzedać otrzymane wiadomości pismom amerykańskim... oświadczył zażenowany, że to nie byłoby „fair“ (zdaje się, że podróż swą przeprowadzał za niemieckie subsydia)“<sup>5</sup>. Po przeszedł dwóch dniach nieporozumienie zostało wyjaśnione i Szwed odzyskał wolność.

Gorsze od przeżyć w obozie zakładniczym względnie więzieniu policyjnym przy pl. Wolności były dzieje tych profesorów, którzy przebywali w więzieniu przy ul. Młyńskiej i w Forcie VIII. Tu trzeba nawiązać do chwili zamknięcia Uniwersytetu w dniu 21 września 1939.

Mimo opieczętowania Collegium Minus, siedziby władz uniwersyteckich, członkowie Rady Uniwersyteckiej nie opuszczali rąk. Niemieckie poczynania wydawały się nieporozumieniem, które wyjaśni się bez trudności. Oto, co w związku z tym opowiedział prof. dr Edward Schechtel:

<sup>5</sup> Wyjątek z wspomnień prof. E. Taylora.



„Dnia 23 września postanowiliśmy (prof. prof. Niklewski, Schechtel i asesor Pawlak) zwrócić się do prezydenta policji Malsen-Ponikau z interwencją w sprawie zamknięcia gmachu. Przy wejściu do Collegium Medicum wartownik nie chciał nas wpuścić i zachował się wobec nas niezwykle obelżywie. Wyciągał nawet rewolwer, by nas odstraszyć od wizyty... Trwaliśmy jednak przy naszym zamiarze i w rezultacie dotarliśmy do prezydenta. Ten przyjął nas bardzo chłodno i oświadczył, że w poprzednich przypadkach, gdy chodziło o wojsko, mógł interweniować, tutaj jednak chodzi o Gestapo, wobec czego musimy sami do nich się zwrócić. Po wyjściu z prezydium policji zastanawialiśmy się przez chwilę, czy zwrócić się do Gestapo, mieszczącego się w Domu Żołnierza przy ul. Ratajczaka. Przeważały moje zdanie, by tej interwencji nie zaniechać. Gdy w kilka chwil później wchodziliśmy do tego gmachu, usłyszałem jak pewna Niemka, w której prof. Niklewski i asesor Pawlak natychmiast poznali przewodniczkę Gestapo z Collegium Minus sprzed dwóch dni, powiedziała do swych towarzyszy, iż należy nas aresztować. Idąc po schodach w górę, poinformowałem o tym moich towarzyszy, którzy nie chcieli mi jednak wierzyć, twierdząc, że musiałem się przesłyszeć.

Gdy zgłosiliśmy się u komendanta, powiedziano, że go nie ma, i kazano nam zaczekać. Umościło mnie to w przekonaniu, że jesteśmy istotnie aresztowani. Tymczasem moi towarzysze byli w dalszym ciągu optymistami. Gdy zbliżała się pora obiadowa, postanowiłem dokonać próby. Zapytałem się, czy nie moglibyśmy pisemnie złożyć naszej prośby, na co gestapowcy dali nam maszynę do pisania i papier. Napisałem, że prosimy o otwarcie gmachu Uniwersytetu, byśmy mogli czuwać nad mieniem uniwersyteckim do chwili, gdy niemieckie władze uniwersyteckie przejmą go z naszych rąk. Po oddaniu wniosku zaproponowałem, że pójdziemy na obiad i przyjdziemy po południu, gdy będzie komendant. Na to jednak urzędujący gestapowiec się nie zgodził, a gdy nastawałem, że przecież trzeba zjeść obiad, zawołał jednego z swoich podwładnych i polecił mu towarzyszyć nam do restauracji... Jedliśmy obiad, a gestapowiec nas pilnował... Jasnym stało się dla nas, że gestapowcy wahają się, czy nas rozstrzelać za podjęcie interwencji, czy też poprzestać na aresztowaniu. Następnie wróciliśmy znowu do gmachu Gestapo i tam czekaliśmy do godziny 18.30. Komendanta w dalszym ciągu nie było. Zaprowadzono nas do komisarza nazwiskim Wiebeck, który spisał nasze personalia, wysłuchał z czym przyszliśmy, i oświadczył krótko, że jesteśmy aresztowani. Wtedy prof. Niklewski zapytał się o przyczynę. Odpowiedź brzmiała, że dowiemy się tego w więzieniu... Przewieziono nas samochodem do więzienia przy ul. Młyńskiej...“

Wiadomość o tych aresztowaniach rozeszła się szybko wśród pracowników uniwersyteckich. Nie wywołała jednak zmiany w ich postawie. Profesorowie, którzy pozostali w Poznaniu, przychodzili w dalszym ciągu do swych zakładów i pracowali. Wydaje się, że właśnie to nie podobało się Niemcom. Choć jedna interwencja zakończyła się tragicznie, prof. dr Witkowski, członek Rady Uniwersyteckiej, w dalszym ciągu zabiegał o los Uniwersytetu. Wtedy, dnia 29 września przyszedł drugi cios.

„Mieliśmy dużo kłopotu z Kliniką Oczną, która mieściła się w skrzydle Collegium Medicum“ — stwierdził prof. Witkowski. „Udało mi się raz zapobiec eksmisji, po kilku dniach jednak niemieckie władze policyjne chciały ponownie usunąć tę klinikę. Interweniowałem, powiedziano mi jednak ze strony wyższego urzędnika w prezydium policji, by przyszedł przedstawiciel wydziału lekarskiego. Poszedłem wobec tego do prof. dra Padlewskiego, którego Zakład Mikrobiologii mieścił się w bezpośrednim sąsiedztwie Collegium Minus. Odnosiłem się do tego czasu do mojej działalności interwencyjnej z wiarą, że osiągnie ona zamierzona rezultaty. Toteż sadiłem, że nasza wspólna interwencja, tzn. prof. Padlewskiego i ja, odniesie również tym razem przynajmniej częściowy skutek.

Było to dnia 29 września 1939 około południa. Gdy prof. Padlewski i ja znaleźliśmy się na skrzyżowaniu Wałów i ul. Fredry, podszedł do nas młody człowiek w cywilu, wyglądający na studenta. Ten oświadczył nam, że jesteśmy

aresztowani. Spostrzegłem wtedy, że w naszym bezpośrednim sąsiedztwie stanął samochód policyjny. Z samochodu wysiadł oficer Gestapo, który powtórzył: „Sie sind verhaftet“ i wezwał nas, byśmy zajęli miejsca w aucie. O ile pamiętam, w aucie znajdował się wtedy już prof. dr Moczarski. Zaprotestowałem energicznie przeciw aresztowaniu, na co oficer odparł, że jego to nic nie obchodzi, że władze mają widocznie dostateczny ku temu powód, skoro wydały takie zarządzenie. Zawieziono nas do więzienia przy ul. Młyńskiej i umieszczono w celi nr 44.“

Prof. dr Moczarski z Zakładu Ogólnej Hodowli Zwierząt został aresztowany w miejscu pracy.

„... Gdy pracowałem w Zakładzie — a praca była niezwykle uciążliwa ze względu na to, że wielu pracowników nie było obecnych — przyjechał po mnie samochodem oficer policyjny. Była to mniej więcej godz. 11. Towarzyszył mu student z wydziału prawnego narodowości niemieckiej. On widocznie miał wskazywać oficerowi policji, kogo ma aresztować. Oficer zapytał się, czy nie wiem o tym, że nie mam prawa urzędować. Odpowiedziałem mu, że sprawa zamknięcia Zakładu nie przedstawia się prosto... odparł na to, iż nie potrzebuje się obawiać nieporządku, gdyż oni, Niemcy, bez trudności na wszystko znajdują radę. Wobec tego Niemiec zawołał administratora z Golecina i polecił mu zabrać inwentarz żywy, jak konie, krowy. Zwierzęta hodowane w budynku pozostały bez żywności. Gdy zwróciłem mu uwagę, że materiał hodowlany zmarnieje, oświadczył, że to w obecnej chwili, gdy giną ludzie, nie odgrywa żadnej roli. Słyszałem później, że część białych szczerów zmarniała, część zaś zdolała wydostać się na zewnątrz... Przewieziono mnie do więzienia przy ul. Młyńskiej...“

Prof. Ohanowicza aresztowano w domu (29 IX 1939), prof. Tymienieckiego zaproszono na przesłuchanie do Gestapo w Domu Żołnierza (5 X 1939). Z reguły aresztowania odbywały się bez poprzednich przesłuchów. Sprawa prof. Tymienieckiego była wyjątkiem. W toku wielogodzinnego śledztwa Niemcy zarzucali mu, że w okresie międzywojennym uprawiał wrogą w stosunku do Niemców działalność. Przesłuchiwał profesora podoficer, do którego później dołączył się drugi indagator. Przesłuchanie to jest charakterystyczne, gdyż ukazuje stosunek Niemców do polskich profesorów, a w szczególności przedstawia, jakie czyny z okresu międzywojennego były w oczach niemieckich „zbrodniami“.

„... W czasie przesłuchania podoficer przerywał rozmowę i zabawiał się słuchaniem radia... Z nieprzyjemnej sytuacji udało mi się jednak znaleźć wyjście. W drodze do Gestapo kupiłem na ulicy „Posener Tageblatt“, jedyne już pismo, jakie można było dostać w Poznaniu... Wyciągnąłem je z kieszeni i zacząłem najspokojniej czytać. Zdaje się, że odniosło to skutek i przesłuchanie potoczyło się odtąd żywiej... Przesłuchanie zaczęło się od zbierania danych osobistych... Okazało się, że jakimś moim życiorysem Gestapo już rozporządzało. Sprawa udziału mego w strajku zwróconym przeciw szkole rosyjskiej została potraktowana w śledztwie z całą wyrozumiałością. W dalszym ciągu zbliżały się jednak punkty, które dotyczyły mojego stosunku do Niemców w latach późniejszych. Nie wyparłem się tego, że wyjeżdżałem na Górny Śląsk w czasie plebiscytu z paroma odczytami, zaznaczyłem tylko zgodnie z prawdą, że były to odczyty dotyczące wyłącznie przeszłości. Drugim drażliwym pytaniem mogła się okazać kwestia mego członkostwa w Związku Zachodnim... Od szeregu lat byłem istotnie członkiem Związku Obrony Kresów Zachodnich czyli późniejszego Związku Zachodniego. W praktycznej jednak działalności nie brałem udziału. Przyznanie się do udziału w Związku, jak się zdaje, zrobiło wrażenie na mojego pierwszego instygatora. Prawdopodobnie nie był dotychczas o tym poinformowany, sam zaś fakt uważał wyraźnie za obciążający. Obronę moją skierowałem więc na tory wspomnianego już raczej formalnego należenia do Związku... Strona niemiecka mocno przesadzała faktyczny jego wpływ i znaczenie. Prawdopodobnie opierała swoje przekonanie na porównaniu z niemieckim „Ostmarkverein“, którego wpływy polityczne były bez porównania większe, jak również rola jego w sprawie polskiej... Na zupełnie zaś błędnej drodze była niemiecka tajna policja państwowa

rozciągając śledztwo na współpracę z Instytutem Zachodnio-Słowiańskim przy Uniwersytecie Poznańskim, usiłując w instytucji tej widzieć jak gdyby mózg Związku Zachodniego. Ani organizacyjnie, ani ideowo nie było między obydwoma instytucjami najsłabszego nawet związku. Instytut Zachodnio-Słowiański skupiał w swym gronie sławistów (językoznawców, etnologów, historyków i prehistoryków)... W szeregu punktów podniesionych w czasie przesłuchania znalazła się także niewielka książeczka wydana przeze mnie pod koniec wojny światowej pt. „Znaczenie Śląska w dziejach Polski“. Oczywiście nie miałem powodu zaprzeczać, że taką książkę napisałem. W dalszym ciągu ten sam instygator odczytał mi niemieckie tytuły szeregu moich prac, w tym wypadku ściśle badawczych a dotyczących stosunków polsko-niemieckich, prawa niemieckiego w Polsce itp. Oświadczyłem mu, że istotnie prace takie napisałem oraz że celem ich było wyjaśnienie szeregu zagadnień naukowych... Następną z kolei była sprawa redagowanych przeze mnie przez lat 15 w Poznaniu „Roczników Historycznych“... Zapytano mnie, czy czasopismo to można by dostać do przeniesienia... Wystarczy przecież pójść do którejkolwiek z bibliotek poznańskich... a to samo zresztą mógł być uczynić już dawniej w której bądź z większych bibliotek niemieckich. Zabawne było zdumienie... mego instygatora... Od tej chwili mój instygator czuł się stanowczo trochę niepewny...

Sprawy dotyczące mej działalności naukowej... stanowiły jedną tylko połowę śledztwa, jak sądzę, mniej niebezpieczną. Moi obydwaj instygatorzy nabrali też większej pewności siebie dopiero wtedy, gdy przeszli do drugiej kategorii obciążeń... Trzech uczniów Uniwersytetu Poznańskiego narodowości niemieckiej zarzuciło mi nieprzychylnie czy nawet wroście ustosunkowanie się do uczniów tej narodowości. Dowodem tego miały być dwa fakty... Pierwszy dotyczył odmówienia im przeze mnie testów czyli poświadczeń uczęszczania na wykłady lub ćwiczenia. Miałem to czynić jakoby wtedy, gdy uczniowie Polacy szepnęli mi na ucho, że chodzi tutaj o Niemców. Drugi zarzut byłby po prostu zabawny, gdyby nie był niesłychany wprost w swej głupocie. Otóż nazwiska tych trzech panów, które brzmiały Flothmeyer, Seeliger i Wolter, miały te same końcówki co nazwisko samego führera i to miało mnie skłonić do uwagi, że wszystkie są z tego samego surowca... Bez wahania zaprzeczyłem prawdziwości powyższych zarzutów. Więc pan zaprzecza prawdziwości zeznań Niemców? Mogę się powołać na innych Niemców, którzy byli naprawdę moimi uczniami i których znam z ich pracy w odróżnieniu od tych trzech... Niezwłocznie też podałem nazwiska... Było ich cztery, które wprowadzono do protokołu. Mogłem przytoczyć nazwisk więcej, ale uważałem, że to powinny wystarczyć... Dwaj pierwsi powołani skończyli uniwersytet już przed paru laty. Beckmann, pierwszy z nich, był w czasie swych studiów prezesem organizacji niemieckich studentów na całą Polskę... Uważałem go za człowieka inteligentnego i sympatycznego. Po złożeniu ostatecznym egzaminów pracował pewien czas w „Deutsche Buecherei“ w Poznaniu. Dwa lata przed wybuchem wojny biorąc jako oficjalny gość udział w uroczystościach jubileuszowych niemieckiego Towarzystwa Historycznego w Poznaniu spotkałem przy tej okazji Beckmanna. Przywitanie nasze było serdeczne. W sali sąsiadującej z odczytową znajdowała się wystawa książki niemieckiej wydawanej w Polsce. W sposób miły i uprzejmy, ale zarazem z widoczną dumą z dokonanej pracy, Beckmann oprowadził mnie po niej... Pana Beckmanna uważałem w tej chwili za głównego swego świadka. Liczyłem na to na pewno, że znajduje się w Poznaniu lub gdzieś w pobliżu. Był zatrudniony, jak się okazało, w samym Poznaniu. Na drugim miejscu wymieniłem jego przyjaciela i rówieśnika Wegnera, o którym nie miałem zresztą bliższych wiadomości. Dwóch innych, Jochimskiego i Kijoka wymieniłem z ostatniego kończącego studia rocznika, ażeby udowodnić, że mój obiektywny i sprawiedliwy stosunek do uczniów niemieckiego pochodzenia nie zmienił się do końca...

Mój pobyt w biurach Gestapo nie skończył się jednak na tym. Po krótkiej przerwie, do pokoju... weszła nowa osoba, a mianowicie wyższa od podoficerskiej szarża. Był to młody oficer, nieduży blondynek, niebieskooki... Panu oficerowi podano protokół, który ten zaczął przebiegać oczami... Wrażenia z lektury wywołały natychmiastową reakcję ze strony oficera. W pewnym miejscu wybuchnął

głośnym śmiechem. Było to miejsce dotyczące Związku Zachodniego. „Jeżeli pan kłamie, to mógłby pan to zrobić zręczniej“!... Z powołanych przeze mnie świadków oficer znał przynajmniej Jochimskiego. Napomknął też pan oficer, że Jochimski może jest w gmachu albo będzie tu wkrótce. W dalszym ciągu rozmowa potoczyła się przyjaźniej. Okazało się, że oficer rozumie, a prawdopodobnie i mówi po polsku. W szczególności jednak zdziwiło mnie jego orientowanie się w sprawach historii, jej studiów, zagadnień, którymi się zajmowałem itd. Wreszcie oświadczył mi wręcz: „Ich bin auch ein Historiker...“ Zapytałem go wobec tego uprzejmie o nazwisko. „Turowski“ — brzmiała odpowiedź. Nazwisko to było mi znane. Był to z pochodzenia Mazur pruski, którego jedyną dotąd pracę doktorską ocenił jeden z naszych kolegów w redagowanych przeze mnie „Rocznikach Historycznych“. Autora potraktował recenzent pobłażliwie, a nawet przyjaźnie. Ale uderzył w jego berlińskich profesorów, którzy przyjęli od ucznia pracę nie znając samą dostatecznie zagadnień polskich. Praca zaś dotyczyła historii Prus Królewskich. W obozie w Główniej (Poznaniu Wschodnim) dowiedziałem się późnej od dra Górskiego, ojca naszego kolegi docenta Uniwersytetu Poznańskiego a obecnie profesora Uniwersytetu im. Kopernika w Toruniu, że Turowski pod nieobecność jego syna, będącego oficerem w Wojsku Polskim, dokonał rewizji w jego mieszkaniu niewątpliwie w związku z powyższą recenzją... W rezultacie dowiedziałem się, że zostałem aresztowany... do wyjaśnienia...

W kancelarii więziennej przyjęła mnie urzędniczka z dawnego personelu polskiego, która miała się stać aniołem opiekuńczym nas więźniów politycznych... Widząc z moich personalów, że ma do czynienia z jednym z profesorów dość często przechodzących w tych dniach „przez jej ręce“, przeznaczyła mnie od razu do celi nr 44, gdzie miałem spotkać się z paroma kolegami... W celi znajdowali się: prof. Moczarski z wydziału rolnego..., prof. Ohanowicz z wydziału prawnego i prof. Padlewski z wydziału lekarskiego, prof. Witkowski z wydziału matematyczno-przyrodniczego... Zająłem miejsce prof. Niklewskiego, chwilowo zastępującego rektora Uniwersytetu, uwięzionego na samym początku a obecnie już zwolnionego. Dowiedziałem się równocześnie, że poza naszą celą był więziony jeszcze prof. Schechtel z wydziału rolniczego i asesor Pawlak z sekretariatu uniwersyteckiego.

... Wieczorem po zjedzeniu więziennej kolacji położyliśmy się zgodnie z regulaminem do snu na swych pryczach. Na spanie było jednak za wcześnie. Według tradycji już ustalonej w celi nr 44 przysłuchiwalimy się kolejnym opowiadaniom. Tego dnia prof. Witkowski referował kilka rozdziałów z niedawno czytanej książki o podróży Magellana, a następnie prof. Padlewski dzielił się z nami swymi wspomnieniami z Chin. Jako młody jeszcze lekarz w służbie rosyjskiej brał on udział w walce z dżumą w tym kraju, w której to akcji współpracował z przedstawicielami innych państw europejskich“.

Tak opowiada prof. Tymieniecki o swoich pierwszych przeżyciach z Gestapo.

Najpierw — jak już wspomniano — został zwolniony prof. Niklewski, po nim opuścili więzienie prof. prof. Witkowski i Padlewski (7. X. 1939), potem prof. Moczarski (13. X. 39). Wtedy to przeniesiono pozostałych więźniów z celi 44 do innej, wskutek czego warunki pobytu znacznie się pogorszyły. Wkrótce potem opuścił więzienie prof. Ohanowicz. Wszystkie zwolnienia były poprzedzone przesłuchaniami w Domu Żołnierza. Przesłuchania te były podobne do przesłuchania prof. dra Tymienieckiego, chociaż nie były, ani tak długie, ani tak wnikliwe. Najpoważniejszą sprawą z pierwszej grupy aresztowanych była niewątpliwie sprawa prof. dr Tymienieckiego, co zresztą oficer Gestapo wyraźnie wobec prof. Witkowskiego i Padlewskiego stwierdził. Prof. Tymieniecki spędził jeszcze wiele tygodni w więzieniu przy ul. Młyńskiej. Otrzymał on wkrótce nowego towarzysza. Na początku października został aresztowany profesor zwyczajny geografii Stanisław Pawłowski. Obydwaj profesorowie spędzili wiele tygodni wspólnie. Sprawy obydwóch profesorów były podobne. Tu i tam chodziło o zarzut rzekomo wrogiego nastawienia w stosunku do Niemców w okresie międzywojennym.

Obydwóch profesorów umieszczono z innymi aresztowanymi w celi nr 52, która odznaczała się wielką ciasnotą<sup>6</sup>. Cztery prycze, podnoszone na dzień na łańcuszkach, maleńki stolik i stołki, brudna, podejrzenie budząca miednica, cztery szafki w ścianie pod pryzcami, kubeł za kotarą przy drzwiach stanowiły umeblowanie dopełniane wieczorami rozkładanym na ziemi siennikiem, który z chwilą spuszczenia prycz musiał leżeć w najbliższym sąsiedztwie kubła i zajmował całe wolne przejście. Przez maleńkie pod samym sufitem okno można było wyglądać jedynie wspiąwszy się na palcach. „Wyglądanie“ było zresztą surowo wzbronione. Podobnie zakazana była gimnastyka w celi, a nawet chodzenie po niej. Zakazy te — jak można było — obchodzono. Walka z pluskwami, rzadziej z innym robactwem, należała do codziennych czynności. Bardzo przygnębiająco działał widok katuszy zadawanych innym więźniom i wieści dochodzące z zewnątrz, a mianowicie o częstych egzekucjach, wykonywanych według ówczesnych wersji na Cytadeli, o „politycznych“ więźniarkach, umieszczanych z przestępczyniami i katowaniu ich przez krzykliwą, odpychającą dozorczynię Niemkę, Richter, która bicie żelaznymi kluczami po głowie uważała za zwykłą karę porządkową. W czasie spacerów na podwórzu więziennym, które zwyrodniały wachmistrz przekształcił w prawdziwą katuszę, wypadki bicia zdarzały się często zwłaszcza w stosunku do młodszych więźniów, i to z błahych powodów, jak rozmowa lub uśmiech. Ofiarą owego wachmistrza padł w szczególności znany w Poznaniu pastor Manitus, który ze względu na wiek i zdrowie nie mógł utrzymać nakazanego tempa. W dniu 18. 10. 1939 uderzyła więźniów celi 32 na podwórzu więziennym obecność młodych chłopców w mundurkach gimnazjalnych. Siedzący w tej samej celi elektrotechnik Lange był podczas wielokrotnych przesłuchań stale katowany i wracał z nich z śladami smagań rzemiennymi pejciami. Wówczas prof. Pawłowski pełnił przy nim obowiązki głównego samarytanina. Przesyłki od rodziny były stale przez wachmistrza okradane; dopuszczano tylko bieliznę. Udało się jednak przy pomocy pracownika z dawnego polskiego personelu uzyskać kilka niemieckich książek. Te książki, przemycone do celi szachy i interesujące opowiadania prof. Pawłowskiego o jego dalekich podróżach pozwalały na chwilę oderwać umysł od potwornej rzeczywistości. Prof. Pawłowski dobrze znosił ten reżim więzienny, jakkolwiek wiedział, że sprawa jego jest poważna. Zwierzył się mianowicie prof. Tymienieckiemu, że Gestapo zarzuca mu — że w maju 1939 r. wygłosił na politycznym zebraniu w Poznaniu odczyt o rozmieszczeniu Niemców w Polsce; po tym odczycie wywiązała się dyskusja, zakończona antyniemiecką rezolucją.

Prof. Tymieniecki został zwolniony dnia 22 listopada 1939 r. Rodzina jego znajdowała się już wtedy w obozie wysiedleńczym w Poznaniu-Wschodnim (Główniej), dokąd też profesora przewieziono. W tym samym mniej więcej czasie został zwolniony asesor Pawlak. Z pierwszej grupy aresztowanych pod koniec września względnie na początku października 1939 wszyscy zatem odzyskali wolność z wyjątkiem prof. Stanisława Pawłowskiego, którego przewieziono do tzw. Fortu VIII i tam w dniu 6 stycznia 1940 zamordowano.

W październiku 1939 rozeszły się w Poznaniu wieści o strasznej kaźni urzędowej przez Niemców w odległych, na zachodnim krańcu Poznania położonych lochach fortecznych, zwanych Fortem VII. Zabudowania te powstały pod koniec XIX w., w tym samym mniej więcej czasie, kiedy Niemcy wybudowali fortecę-cytadelę w północnej części miasta. Głębokie lochy podziemne zostały wyzyskane na ciężkie więzienie. Tych, których aresztowano pod koniec października, umieszczano najczęściej właśnie w Fortcie VIII, w więzieniu poznańskiego Gestapo. Ze względu na

<sup>6</sup> Opis wspólnych przeżyć prof. prof. Tymienieckiego i Pawłowskiego jest oparty na wspomnieniach prof. Tymienieckiego, przedrukowanych w zbiorze H. Szołdrskiej: *Walka z kulturą polską*, 158—172.

to, że Fort VIII podlegał Gestapo, traktowanie więźniów było tam nieporównanie gorsze niż w więzieniu przy ul. Młyńskiej. O ile wszyscy profesorowie więzieni przy ul. Młyńskiej — z wyjątkiem prof. Pawłowskiego — odzyskali wolność, o tyle z profesorów i asystentów, których umieszczono od razu w Forcie VII, wolność odzyskał tylko prof. Nowakowski z wydziału lekarskiego. To zwolnienie zaś (14. III, 1940) nie było bynajmniej wynikiem normalnego postępowania śledczego, lecz skutkiem zupełnie wyjątkowego zbiegu okoliczności. Wszyscy inni zostali zamordowani.

Dnia 28. X. 1939 aresztowano prof. Romualda Paczkowskiego z wydziału prawnego i prof. Stanisława Kalandyka z wydziału lekarskiego. W dzień później los ich podzielił prof. Edward Klich z wydziału humanistycznego. W dniu Wszystkich Świętych został aresztowany prof. Kazimierz Nowakowski z wydziału lekarskiego i równocześnie z nim asystent wydziału rolnego, którym według wszelkiego prawdopodobieństwa był dr Kazimierz Chmielecki, starszy asystent Zakładu Ekonomii Rolniczej i wykładowca Uniwersytetu. Dnia 3 listopada aresztowano bibliotekarza naukowego Biblioteki Uniwersyteckiej dra Ludwika Posadzego. Do nich dołączono nieco później dra Tadeusza Kuczmę, starszego asystenta Seminarium Prawa Karnego i wiceprokuratora Sądu Okręgowego w Poznaniu. Wszystkich osadzono w Forcie VIII. Spośród pracowników administracyjnych Uniwersytetu znalazł się tam Walenty Wiciak, woźny z Zakładu Biologii Lekarskiej, który zadenuncjonowany za wrogą wobec Niemców postawę przed wybuchem wojny przez studenta narodowości niemieckiej, spędził tam 3 miesiące, zanim złamany na zdrowiu odzyskał znowu wolność<sup>7</sup>.

Prof. Nowakowski z wydziału lekarskiego — dziś już nieżyjący — tak opowiada o swoim przybyciu do Fortu VIII i panujących tam warunkach:

„... Brama rozwarła się, samochód wjechał, brama została zamknięta... Rozległ się rozkaz: „Aussteigen, Gepäck mitnehmen (wysiąść, zabrać z sobą bagaż)“. Nie mieliśmy oczywiście żadnego „Gepäck“. Gestapowcy zaprowadzili nas na pobliski odwach (tzn. prof. Kazimierza Nowakowskiego i dra Kazimierza Chmieleckiego, *z przyp. red.*). Załoga odwachu przywitała nas słowami: „Da kommen schon wieder polnische Lumpen, Schweinehunde (oto znowu polskie łajdaki i świnię)“. Na odwachu było 6—8 ludzi, którzy podobnie jak my zostali aresztowani. Po chwili zwrócił się do nas jeden z gestapowców i powiedział: „Ihr seid hier in Schutzhaft... (Jesteście tu w areszcie ochronnym). Ten, kto będzie przestrzegał regulaminu, nie poniesie żadnej szkody, dla tych, którzy się do niego nie zastosują, przewidziana jest kara cielesna, w razie próby ucieczki — rozstrzelanie. Wszystko z kieszeni wyjąć i położyć na stół.“ — Cała ta przemowa została oczywiście wygłoszona po niemiecku; ktoś z aresztowanych musiał ją przetłumaczyć. Przemawiający gestapowiec używał stale zwrotu „du (ty)“. Zastosowaliśmy się do rozkazów, wyjęliśmy wszystko z kieszeni, złożyliśmy na stole także szelki i krawaty. Rzeczy nasze włożono do specjalnych torebek z naszymi nazwiskami, przy tej okazji jednak niektóre przedmioty wędrowały do kieszeni gestapowców. Tak było z moim złotym piórem. Asystenta z wydziału rolnego i mnie zaprowadzono do tej samej celi, w której znajdowali się już inni profesorowie, radni miasta, księża, literaci, malarze. Spotkałem tam m. i. prof. Kalandyka, inż. Cybichowskiego, art. malarza Smoguleckiego, dra Rydlewskiego, prof. Kuczmę, prof. Paczkowskiego itd. Tego samego dnia przeniesiono mnie i kilka osób do celi położonej o piętro wyżej. Było tam chłodniej, jednak mieliśmy więcej powietrza. O ile w dolnej celi było przeszło 30 osób, o tyle w naszej było 10—12 osób. Dolną celę nazywano „Professorenzelle“. W celę ze mną siedział m. i. Nikodem Pajzderski, dyr. Muzeum Wielkopolskiego.

Ani górna, ani dolna cela nie miały okien. Nasza cela miała zakratowane okno na korytarz. Okno to było zabite dyktą, tak jednak że przez szpary mogliśmy cza-

<sup>7</sup> Fakty te ustalono na podstawie materiałów zebranych przez H. Szoldrską, *op. cit.*, 28, 32, 56, 114, życiorysu Ludwika Posadzego (oprac. J. Baumgart) w Przeglądzie Wielkopolskim 1946 oraz informacji rodziny Walentego Wiciaka.

sem życie na korytarzu obserwować. Rano o godz. 6-tej włączali Niemcy światło, wieczorem o godz. 9-tej je gasili. Po zgaszeniu światła panował w celi półmrok, gdyż przebiegało przez drzwi i okno światło z korytarza. Tak wyglądało oświetlenie wszystkich cel. Regulamin więzienny przedstawiał się następująco: Pobudka o godz. 6-tej. Kolejny marsz celami do ustępu. Czasu na to było bardzo niedużo, tak że ten kto miał zaparcie, nie mógł się wypróżnić. Następnie wspólne mycie również celami. Trzeba było rozebrać się do pasa. Po tej toalecie rannej delegacji poszczególnych cel szli z wiadrami do kuchni po kawę. Każdy z nas otrzymał pajdę chleba, która musiała starczyć na cały dzień. Pajda chleba stanowiła bodaj  $\frac{1}{4}$  część bochenka. W południe dawano nam zupę z jarzyn, z kartofli, czasem z kaszy. Kocłacja nasza składała się znowu z kawy i reszty chleba otrzymanego rano. Musieliśmy utrzymać w celi wzorowy porządek. Po pewnym czasie otrzymaliśmy pierwsze przesyłki od naszych rodzin. Dostaliśmy w ten sposób koce, ręczniki, mydło. Wędrowniki do kuchni stanowiły okazję do porozumiewania się między celami. Nie zawsze oczywiście wysłannicy poszczególnych cel spotykali się w kuchni, gdyż w zasadzie każda cela otrzymywała posiłek oddzielnie.

Zyliśmy tak bez świeżego powietrza cztery albo sześć tygodni. Nie wyprowadzono nas ani razu na spacer. Po tym okresie nastąpiło pierwsze przesłuchanie. Niemcy nie orientowali się zupełnie w stosunkach poznańskich. Zarzuty, które poszczególnym osobom stawiali, były śmieszne. Tak np. dyrektorowi Muzeum Nikodemowi Pajzdierskiemu zarzucali, że on kazał zniszczyć pomniki niemieckie w Poznaniu po pierwszej wojnie światowej. Dyr. Pajzdierski tłumaczył im, że wtedy nie był jeszcze w Poznaniu, że przebywał wówczas w Gołuchowie pod Pleszewem. Mnie postawili mniej więcej następujące pytania: co robiłem w okresie międzywojennym, czy należałem do towarzystw, czy nie podburzałem ludności przeciw Niemcom. Po tych pierwszych przesłuchaniach nastąpiły egzekucje. Z naszej celi, wówczas już dosyć licznej, rozstrzelano trzy albo cztery osoby. Do ofiar należał również nieznanymi z nazwiska dyrektor Stomilu. W innych celach już wcześniej zabierano poszczególnie osoby na egzekucję. Dr Posadzy z Biblioteki Uniwersyteckiej zginął jeszcze w listopadzie. Siedział on w jednej celi z kanonikami, ks. ks. Putzem i Szrejbrowskim. Po rozstrzelaniu dra Posadzego przekazano wspomnianych dwóch księży do naszej celi.

Wiedzieliśmy dokładnie, kiedy odbywały się egzekucje. Z początku hitlerowcy zaangażowali na pomocników synów różnych niemieckich kolonistów spod Poznania. Jeśli miała być przeprowadzona egzekucja, zabierano ich z korytarza i izolowano. Następnie zabierano z cel poszczególnie osoby, które w zwartym szyku gestapowcy prowadzili poza teren zabudowań. Tam ginęli oni od tzw. Genickschuss. Zdaje się, że gestapowcy otaczali zwartą linią swoje ofiary i w toku marszu na dany znak rozpoczęli strzelać. Słyszeliśmy niejednokrotnie strzały. Trudno jednak powiedzieć, czy strzały te pochodziły od plutonu egzekucyjnego. Niemcy przeprowadzali również ćwiczenia na terenie Fortu VII.

O naszych młodych wartownikach — Volksdeutschach należy jeszcze powiedzieć to, że obserwowali oni niejednokrotnie rano, jak poszczególni więźniowie rozchodzili się do różnych cel. Stanowiło to dla nich powód do szczególnej radości, jak z gromady więźniów w zupełnej ciszy jeden zniknął w tej, a drugi w innej celi. Przypominało im to dobrze wytresowane zwierzęta gospodarskie, które również wiedziały, gdzie jest ich miejsce.

Egzekucje zdarzały się czasem nocą. Były to egzekucje „nielegalne“. Zdarzało się nieraz, że Niemcy z powodu jakiegoś „Siegu“ się upili. Wtedy niektórzy z nich udawali się do cel i torturowali więźniów, co niejednen więzień życiem przypłacił.

Powodów naszego aresztowania nigdy się nie dowiedziałem. W pierwszych dniach listopada przypuszczaliśmy, że Niemcy chcą w Poznaniu urządzić wielkie uroczystości. Mniemaliśmy, że należymy do zakładników, wzgl. że Niemcy przez

aresztowania w łonie inteligencji chcieli społeczeństwo na czas uroczystości sterroryzować. Przyypuszczenia nasze były oczywiście niesłuszne. Nie szły one dosyć daleko.

Do świąt Bożego Narodzenia byliśmy raz na świeżym powietrzu. Zwracaliśmy się później niejednokrotnie do gestapowców z prośbą o wypuszczenie nas dla zacerpnięcia oddechu wzgl. umożliwienia wytrzepania ubrań. To było jednak bezskuteczne. Dopiero po 1 lutym nadzorujący nas gestapowiec przeprowadzał z nami gimnastykę. Do pracy nikogo z nas (ani z jednej, ani z drugiej celi) nie brano.<sup>4</sup>

Z niemieckich kartotek policyjnych, które były podstawą aresztowania, zachowały się niektóre. Na karcie dra Tadeusza Kuczmy widnieje wzmianka: Aufständischer, hat sich deutschfeindlich betätigt (powstaniec, działał w duchu antyniemieckim), nazwiska świadków Lange i Vogel i polecenie aresztowania. Podobnie przedstawiają się karty z nazwiskami: Stanisław Kalandyk (Wissenschaftler, Physiker, Boykott gegen das Deutschtum), Edward Klich (Deutsche boykottiert), Bolesław Kowalski (Gynekologe, typischer Pole, nur zuletzt nicht öffentlich deutschfeindliche Aeusserungen), Tadeusz Żuralski (Nationaldemokrat, Hetzer), Michał Sobeski (hat deutschfeindlich gewirkt). Nie zawsze widnieją wzmianki o zgłoszeniu danej osoby do aresztowania. Mniej więcej tak też wyglądają karty z nazwiskami: Franciszek Łabędziński, Bronisław Stelmachowski, Tadeusz Silnicki, Zygmunt Lisowski, Karol Stojanowski. Przy niektórych kartach, jak wyżej wspomniano, znajdują się nakazy aresztowania na Fort VII, zresztą niepodpisane. Dotyczy to profesorów: Józefa Kostrzewskiego, Alfreda Ohanowicza, Antoniego Peretiatkowicza, Romualda Paczkowskiego, Jaxy-Bykowskiego (Jaxa było w rozumieniu niemieckim imieniem), Stefana Błachowskiego, Edwarda Niezabitowskiego, Feliksa Adamanisa. W kartach prof. prof. Paczkowskiego i Adamanisa znajduje się wzmianka: Antifaschist. Nie ulega wątpliwości, że tych kart było więcej, wyliczono tutaj tylko te, które dzisiaj są znane<sup>5</sup>. Spośród wymienionych profesorów kilku nie było aresztowanych, gdyż albo nie znajdowali się w Poznaniu, albo się ukrywali. Tak np. prof. dr Józef Kostrzewski, znany archeolog, ukrywał się początkowo u artysty malarza Stanisława Smoguleckiego przy ul. Zakręt 28 do chwili jego aresztowania. Gestapowcy przyszlizli wtedy po gospodarza domu i szczęśliwie nie zwrócili uwagi na jego gości.

Przedstawione wyżej wydarzenia, pierwsze aresztowania wśród grona profesorskiego, naświetlono niejednolicie. Niektórym osobom poświęcono więcej miejsca, o innych tylko wspomniano. Niejeden niestety fakt godny pamięci zginął bezpowrotnie wraz z tymi, którzy byli jego świadkami.

JOZEF JAN BOSSOWSKI, KAROL MARIAN POSPIESZALSKI,  
KAZIMIERZ TYMIENIECKI, ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI

## LOSY ZAKŁADÓW NAUKOWYCH UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO W KRAKOWIE W OKRESIE OKUPACJI HITLEROWSKIEJ 1939—1945

Przyczynek do historii spustoszeń kulturalnych nazizmu

### 1

Dzieje okupacji hitlerowskiej w Polsce, złowrogie działanie i straszliwe skutki wyniszczające tej wielkiej maszyny potwornego ucisku, jej — że tak powiemy — morfologia i mechanizm, mimo iż dość wcześnie, bo jeszcze w okresie jej trwania weszły na warsztat pracy dziejopisarskiej i stały się przedmiotem naukowych dociekań i studiów, zrazu doraźnych, z biegiem czasu coraz głębszych i systematycznych

<sup>4</sup> Resztki kartotek policyjnych znajdują się w archiwum Instytutu Zachodniego (I. Z. Dok. 1-8 i 438). Fotografia nakazu aresztowania prof. Kostrzewskiego — Przegląd Zachodni 1947, 504—505.